Witold STARNAWSKI

JAK MOGŁO DO TEGO DOJŚĆ?

Zdziwienie, z jakim spotykamy się coraz częściej w naszym życiu społecznym, wynika nie z filozofii, ale raczej z niechęci do czytania gazet. W połączeniu z niewielką dawką amnezji prowadzi to do pytań w rodzaju: Jak to się mogło stać, że w Polsce rządzą znowu komuniści? Dlaczego ataki na Kościół zyskują tylu przychylnych słuchaczy? Dlaczego dzieci mordują dzieci? A przecież uważny czytelnik prasy znajdzie odpowiedzi na te pytania, jeśli tylko jego pamięć nie skasuje się po kolejnym wyłączeniu telewizora czy zamknięciu gazety. Stan błogiej nieświadomości (tabula rasa: „mnie brudna polityka nie interesuje") daje przyjemny relaks skołatanej duszy i jest dość wygodny dla tych, którzy decydują w chwili obecnej o tym, co stanie się w Polsce i z Polską w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat. Chcieliśmy mieć konstytucję, to ją mamy (lepiej mieć coś niż nic – a zwłaszcza konstytucję stalinowską!), mniejsza o szczegóły, któż by się spierał o prawnicze sformułowania, kiedy i tak będziemy mogli robić to, co chcemy! Te niesympatyczne i grubiańskie ataki na konstytucję naruszają przecież poczucie dobrego smaku i elegancji, tak potrzebne w każdej dziedzinie życia. A w ogóle to jakoś będzie, przecież nie opuści nas opieka Boska, a i z ludźmi można się zawsze dogadać (nie można przecież odmówić wielu byłym komunistom rzeczowości i niemal europejskiej kultury).

I nie jest już takie ważne, kto wygra w wyborach, byleby nie zwyciężyły „skrajności". I w ogóle byłoby całkiem miło, gdyby nie fakt, że naszego ulubionego polityka znów ktoś znieważa oskarżając go o jakąś współpracę; w sąsiedniej szkole ośmioklasiści próbowali w czasie przerwy powiesić swego młodszego kolegę (mówią, że jacyś sataniści czy co?); a na murach kościoła pojawił się nie wiedzieć czemu napis: „Pal kościoły".

Jak oni mogą?!

*

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych odezwały się pierwsze ostrożne głosy wzywające do dekomunizacji i lustracji, trudno było w środowiskach chrześcijańskich elit intelektualnych i kulturalnych znaleźć zrozumienie dla tych projektów. Przeważała obojętność i obawa („nie chcemy mieszać się do tej brudnej walki o władzę"). A kiedy ogłoszono tak zwaną listę Macierewicza i rozpętała się histeryczna nagonka na pomysłodawców lustracji, elity te nie stanęły w obronie atakowanych, a przecież przejawy manipulacji i prowokacji ze strony przeciwników lustracji z każdym dniem były coraz bardziej widoczne (wystarczy wspomnieć akcję „zamach stanu" – zapraszam do lektury starych gazet z czerwca i lipca 1992 roku). Co więcej – kiedy z groteskową zajadłością w zbrojach moralistów zaatakowano samą ideę lustracji w państwie, nie odezwały się głosy sprzeciwu, że jest to nadużywanie chrześcijańskiego miłosierdzia do niecnych celów. Tak bardzo nas zabolało, że na listach znaleźli się nasi ulubieńcy, „autorytety" i ci,

którzy stwarzali możliwość szerokiego kompromisu i pojednania. A przecież wystarczyło domagać się otwarcia odpowiednich akt. Sprawdzić, czy to prawda czy nie... Ale „nam prawdy nie trzeba" – jak pisał Jewtuszenko.

Dzisiaj, kiedy do NATO prowadzi nas prezydent Kwaśniewski, lustracja okazała się słuszna, tyle że czuwa nad nią sprawdzony w PRL aparat funkcjonariuszy SB. Dziennikarze „Gazety Wyborczej" ubolewają z rozczulającą naiwnością, jak mogło do tego dojść, że na wysokie stanowiska do rządu i telewizji wracają działacze SB znani z organizowania bojówek na spotkaniach „latającego uniwersytetu", a SdRP ma nadal tak liczny elektorat. Przecież wszyscy żyliśmy w komunizmie, a więc jesteśmy po trosze komunistami – argumentują z porażającą oczywistością zwolennicy hasła „liczy się tylko przyszłość".

*

Na naszych oczach tworzy się „nowa historia". Jej zadaniem nie jest opisanie procesów zachodzących w rzeczywistości, ale zachowanie i wykreowanie autorytetów i opinii, które już jako „fakty" będzie można przekazywać dalej i rozpowszechniać po świecie (dobrym przykładem takiej propagandy jest tak zwany pogrom kielecki – nie został on w ubiegłym roku w pełni wykorzystany przez propagatorów antysemityzmu Polaków, gdyż na przeszkodzie stanęły... ujawnione fakty). Przede wszystkim chodzi jednak o autorytety. Oto jeden z socjologów (związany z Unią Wolności) uważa, że największą winą Macierewicza było to, iż... uniemożliwił wykreowanie mężów stanu („według mnie tamta noc uniemożliwiła w sposób zasadniczy wykreowanie potencjalnych mężów stanu w obozie posierpniowym. Zauważmy: na liście Macierewicza znalazły się osoby, które zajmowały najwyższe stanowiska w państwie").

Teraz już wiemy, dlaczego nie mamy prawdziwych mężów stanu. Można tylko żałować, bo i Józef Oleksy mógłby stać się promotorem pojednania chrześcijan z komunistyczną lewicą, gdyby nie ujawnienie tej nieszczęsnej „nieświadomej współpracy" z Ałganowem („myślę o potrzebie i możliwości istnienia «skrzydła» lewicy chrześcijańskiej, która by dopełniała człowieczego obrazu, tego, co model socjaldemokratyczny proponuje człowiekowi na dziś i jutro" – czyż dla tych szlachetnych deklaracji nie warto zapomnieć o małych błędach przeszłości?). Czy warto przypominać, że inne fakty z życia „powszechnie szanowanych polityków" (np. kryminalne zdarzenia w życiu marszałka Józefa Zycha czy współpraca Andrzeja Olechowskiego z wywiadem, do której się przyznał publicznie) są z wyrozumieniem puszczane w niepamięć, byle tylko nie zamąciły ich nobliwego wizerunku? Trudno się dziwić, że Bagsik czy Grobelny pozostają autorytetami w dziedzinie finansów i bankowości, a Cimoszewicz jest nazywany (znowu przez przemiłych dziennikarzy „Gazety Wyborczej") „najbardziej wiarygodnym politykiem SLD". Nie może także dziwić to, że kandydat na prezydenta (a obecnie prezydent) kłamie. Zresztą to nie takie ważne, czy ktoś ma tytuł magistra czy go nie ma. U nas można przecież uchodzić za profesora nie będąc nim: autorytet i opinia z przeszłości dają wystarczające podstawy, aby fakty nieco naciągnąć do potrzeb.

*

„Naprawianie Polski" i uporczywa zmiana mentalności Polaków najbardziej widoczna jest w dziedzinie obyczajowej. Dzisiaj nie musimy się już wstydzić, że jesteśmy tak daleko w tyle za postępowym światem: „monogamia się przeżyła", „zdrada przyczynia się do genetycznego udoskonalenia gatunku ludzkiego" – pisze obeznana z najnowszymi odkryciami genetyki admiratorka postępu, a inna znana dziennikarka wtóruje jej zachwalając tolerancję: „Dzięki telewizji, kinie, prasie dowiadujemy się, że na przykład homoseksualiści to wartościowi i godni szacunku i zaufania ludzie". Bojkot pornografii budzi oburzenie rzeczników tolerancji. Jeden z redaktorów największej w Polsce gazety chwali się: „Ćwierć wieku temu, przy wejściu do hamburskiej dzielnicy

rozpusty – St. Pauli, poczułem się nagle prawdziwie wolny". I konstatuje, że „pornografia może być pożyteczna".

Takie wywody mieszczą się w granicach poszerzonej „poprawności politycznej", a ich autorzy już nawet nie boją się śmieszności. Swoboda głoszenia nawet najbardziej śmiesznych poglądów urosła do rangi dogmatu nowoczesnego Polaka, a obrona prawa do wolności słowa dla Jerzego Urbana stała się miernikiem etyki dziennikarskiej. Ponieważ nie natrafiono na żadne oznaki sprzeciwu, posunięto się o krok dalej. „Polskie społeczeństwo jest infantylne i niedoinformowane", nie rozumie więc, że Kościół to „instytucja dogmatyczna i autorytarna, a przez to niebezpieczna" – twierdzi jeden z wydawców, który za swoją misję uznał wydawanie książek atakujących Kościół. I może liczyć na uznanie, ponieważ zdaniem jednego z krytyków „świadoma prowokacja i bluźnierstwo coraz częściej uznawane są za przejaw twórczej fantazji, wolności słowa i wyznania, jako element prawa jednostki".

*

Nadzieje związane ze zbliżającymi się wyborami parlamentarnymi są wygórowane. Nie tylko dlatego, że często działacze tak zwanej prawicy nie dorastają do programów, które głoszą, a programy te nie są w stanie rozwiązać rzeczywistych problemów. Chodzi o rzecz bardziej zasadniczą: ani partie, ani politycy nie są w stanie przeprowadzić żadnych zasadniczych zmian, jeśli nie ma w społeczeństwie poważnych sił, które przypominałyby o moralnym obowiązku uczestniczenia w życiu społecznym i politycznym. W przeciwnym razie będziemy ciągle skazani na bierny udział w grach politycznych prowadzonych w rozmaitych celach, ale zawsze poza naszymi plecami.

Oczywiście można wierzyć w szlachetne intencje generałów Jaruzelskiego i Kiszczaka: ich ofiarna i dalekowzroczna praca na rzecz nowej Polski jest stałym elementem rozsiewanych głównie przez nich samych opowieści skierowanych do głów otępiałych od natłoku bieżących informacji i nieskorych do kojarzenia faktów. Zamiast prowadzić jałowe spory na temat zmowy w Magdalence, wystarczy sięgnąć na przykład po taką oto wypowiedź „głównego współtwórcy sukcesu okrągłego stołu" z lutego 1993 roku: „Jeśli chodzi o naszych ówczesnych głównych adwersarzy – czyli dzisiejszą Unię Demokratyczną i liberałów – to wprawdzie dzisiaj wrócili częściowo do sprawowania rządów, ale umowa została złamana po raz pierwszy, gdy cała ekipa została od władzy odsunięta i przejęli ją ci, którzy przy «okrągłym stole» nic nie znaczyli". Czy kompromis sam w sobie jest czymś złym? – pytają retorycznie zwolennicy „historycznego porozumienia". Któż by w takiej chwili wypominał pionierowi liberalizmu i rzecznikowi dialogu to, że stał na czele organizacji (MSW), w ramach której działały zbrodnicze grupy, a sam jest oskarżonym w kilku procesach?

Mówi się teraz o „błędzie" nierozliczenia komunistów – teraz ma być już na to rzekomo za późno. W innym miejscu czołowy mentor chrześcijańskiego „nowego myślenia dialogicznego" ze zdumieniem konstatuje, iż ludzie nie zauważyli, że komunizm się skończył i nie potrafią się z tego cieszyć. A to dlatego, że są „skomunizowani".

*

Rzeczywiście, skoro żyliśmy w komunizmie, należy nam się przede wszystkim rozliczenie nie z komunistami, lecz z komunizmem. Tak jak Niemcy musieli po wojnie uporać się ze swoim faszyzmem. Obowiązkiem moralnym jest więc być antykomunistą w Polsce. Choćby po to, aby w żadnej postaci komunizm już tu nie wrócił. Trudno dzisiaj niezłomnie bronić kilku prostych zasad chrześcijańskich, takich jak prawo do życia, prawdomówność i obrona dzieci przed demoralizacją, jeśli z przeszłości nie potrafimy czy nie chcemy wydobyć całej prawdy, choćby była

bolesna. Wiele zależy tu od chrześcijańskich elit. Czy dadzą się znów wykorzystać...? Czy polityka pozostanie domeną graczy, liczących na to, że ignorancja „motłochu", a także naiwność i sentymentalizm „elit" uwolnią ich od odpowiedzialności za to, co robią? Czyż nie mamy prawa (obowiązku?) znać życiorysów i kompromitujących związków z agenturą, przestępczymi organizacjami czy masonerią? Czyż kara nie jest także postulatem moralnym w dziedzinie społecznej? Czy nieuzasadnione odstąpienie od niej albo nawoływanie do powszechnej niepamięci tego, co złe w przeszłości – nie jest godne potępienia? I wreszcie czy potępienie to zostało wypowiedziane na tyle wyraziście, aby stanowić mocny filar wskazujący drogę tym, którzy gubią się w zamęcie niejednoznacznych ocen i dowolnych opinii?

*

Nasze nadzieje nie mogą się ograniczyć do wygranej tego czy innego bloku antykomunistycznego. Powinny być one odwrotnie proporcjonalne do naszej otwartości w zawieraniu kompromisów kosztem rzeczywistości. Chyba że... prawdy nam nie trzeba.

Kwiecień 1997